
Goldex Poldex Madafaka, czyli raport z (oblężonego) Pi sektora

JAN SOWA

Formy kapitału

W latach 70. XX wieku amerykański socjolog Robert Putnam przeprowadził badania, które śmiało nazwać można *tour de force* empirycznej socjologii. Podążając śladami antropologa Edwarda Banfielda, który dwie dekady wcześniej badał południe Włoch, Putnam postanowił rozwikłać zagadkę kulturowego, społecznego i ekonomicznego pęknięcia Półwyspu Apenińskiego na dwie części – rozwiniętą Północ i zacofane Południe – oraz odpowiedzieć na pytanie, czemu tereny położone poniżej Neapolu bardziej przypominają Afrykę niż resztę państwa, do którego należą. Putnam szybko zauważył, że na poziomie społecznej praktyki głównym problemem zacofanego Południa była nieskuteczność lokalnej administracji, która po prostu nie potrafiła dobrze realizować podstawowych zadań (w każdej dziedzinie: oświacie, kulturze, służbie zdrowia, sądownictwie itp.). Co ważne i ciekawe, Włochy były już wtedy po gruntownej reformie administracyjnej, która stworzyła w całym państwie jednolite struktury władzy lokalnej i regionalnej. Na Północy powstała w ten sposób świetnie działająca i sprawna administracja, na Południu zaś reforma nie doprowadziła właściwie do niczego: korupcja, bieda, niedorozwój trwały tam – i trwają do dziś – w takiej samej niemal postaci

jak wcześniej, co powinno dać do myślenia tym, którym wydaje się, że lepszy świat można stworzyć przez odgórne kształcenie struktur i mechanizmów administracyjnych.

Badania Putnama w niepodważalny sposób potwierdziły radykalne pęknięcie Włoch na dwa nieprzystające do siebie regiony. Autor *Demokracji w działaniu* dokonał jednak więcej: za pomocą mozolnych i skrupulatnych analiz statystycznych dowiódł tego, co ponad sto lat wcześniej twierdził de Tocqueville, a mniej więcej w tym samym czasie co Putnam wyartykułował Pierre Bourdieu w swojej teorii form kapitału, a mianowicie, że siła społeczeństwa nie bierze się przede wszystkim z jego zasobów materialnych, bogactw naturalnych czy struktur administracyjnych, ale ze spontanicznej, oddolnej aktywności jednostek połączonej z umiejętnością grupowego działania. Najsilniejszym i najważniejszym korelatem rozwoju społeczno-ekonomiczno-politycznego okazała się w badaniach Putnama liczba i aktywność stowarzyszeń, klubów, grup hobbyistycznych itd. Nie chodzi tu bynajmniej o organizacje o profilu społecznym czy politycznym, ale o wszystkie powstające oddolnie i w spontaniczny sposób grupy skupione wokół wspólnego przedsięwzięcia, niezależnie od tego, czy byłyby to orkiestry dęte, kluby brydżowe, ochotnicza straż pożarna czy szkoły niedzielne. Konkluzję tę Putnam przedstawił w żartobliwej maksymie, że jeśli chce się wzmacniać demokrację, to trzeba organizować niedzielne pikniki¹.

Dzięki Putnamowi (i wspomnianemu już Bourdieu) potrafimy dziś teoretycznie opisać mechanizm, który odpowiada za taki stan rzeczy. Organizacje obywatelskie są inkubatorami kapitału społecznego, czyli więzi, znajomości, zaufania i współpracy, które stanowią bazę kolektywnego działania. I to właśnie ono – a nie działanie indywidualne, jak usiłują przekonać nas neoliberalowie – stanowi podstawę społecznego, ekonomicznego i politycznego rozwoju². Odgórne reformy administracji nie przyniosły na południu Włoch wiele dobrego, po-

nieważ kapitału społecznego nie da się stworzyć decyzjami biurokratów. Jest on raczej produktem ubocznym aktywności skierowanej na coś zupełnie innego niż sam rozwój lub ekonomiczny dobrobyt, jest w pewnym sensie społeczeństwem *par excellence*, czyli powtarzającą się korzystną dla wszystkich stron interakcją między więcej niż trzema jednostkami.

Grant art

Wydawałoby się, że wniosek płynący z badań Putnama i teorii Bourdieu dla progresywnej polityki – w tym również polityki kulturalnej – powinien być jeden: wspierajmy trzeci sektor! Sytuacja nie jest jednak taka prosta. Uważna czytelniczka zwróciła być może uwagę, że opisując badania i teorię Putnama, nigdzie nie użyłem terminu „trzeci sektor”. Zrobiłem to celowo. I bynajmniej nie tylko dlatego, że nie używa go Putnam. Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy przekładać na język współczesny tych teorii, które powstały, zanim pewne terminy były pod ręką. Chodzi raczej o to, że wbrew oczywistym skojarzeniom trzeci sektor wcale nie pokrywa się z tym rodzajem grup i inicjatyw, o których pisze Putnam. „Trzeci sektor” to raczej nazwa problemu niż rozwiązania. Jego rozwój zbiega się w czasie z degradacją kapitału społecznego, jaką od kilku dekad obserwować można w krajach Zachodu. Neoliberalna ideologia, podkreślając zawsze i w każdym kontekście prymat jednostki nad grupą i afirmująca jedną tylko możliwą motywację działania – egoistyczną chciwość – stopniowo, ale skutecznie podkopuje więzi i struktury będące bazą dla zbiorowego działania, w efekcie którego w społeczeństwie akumuluje się kapitał społeczny³.

Jednocześnie wyłanianiu się tak zwanego „trzeciego sektora” towarzyszy inny trend – profesjonalizacja i menedżeryzacja organizacji obywatelskich. Kiedyś działały one w oparciu o entuzjazm, a ich siła rodziła się z synergicznego połączenia zapału, wysiłku i determinacji grupy jednostek skupionych

wokół wspólnego przedsięwzięcia. Dzisiaj stowarzyszenia, fundacje i inne tego typu instytucje coraz bardziej przypominają firmy kierowane przy wykorzystaniu tak zwanych nowych technik zarządzania (ang. *New Management Techniques*: zarządzanie projektowe, praca grupowa, analizy SWOT itp.). Profesjonalizacja – proklamowana przez proroków menedżeryzmu jako szansa na rozwój trzeciego sektora – to *de facto* sposób na przekształcenie spontanicznej aktywności entuzjastów, która zawsze stała u podstaw działania organizacji obywatelskich, w przedsięwzięcie kryptokapitalistyczne. W ten sposób ze spółkowania pierwszego sektora z drugim powstał zmutowany bękart: parafirmy realizujące w skomercjonalizowanej i zbanalizowanej wersji albo to, co powinny robić dobrze zorganizowane instytucje publiczne, albo to, co mogłyby robić zorientowane na zysk firmy prywatne.

Podobny mutant może istnieć tylko i wyłącznie dzięki systemowi sztucznego podtrzymywania życia. Są nim programy dotacji i grantów dla organizacji pozarządowych. Nie sądzę oczywiście, że stanowią one zło samo w sobie. Idea powszechnego dostępu do publicznych środków jest słuszna. Problem stanowi sposób funkcjonowania systemu ich rozdzielania. Jest on obecnie źródłem „korupcji” (w sensie prowokowania zepsucia) organizacji obywatelskich poprzez uzależnianie ich od grantów. Zamiast działać w sposób autonomiczny, dywersyfikować źródła dochodów i szukać kreatywnych sposobów finansowania swojej działalności (a opcji jest tu wiele: począwszy od składek członkowskich, przez innowacyjne formy działalności gospodarczej, grę na giełdzie i spekulację nieruchomościami, a na przemyśle narkotyków, nielegalnej sprzedaży alkoholu i uwodzeniu bogatych wdów skończywszy), trzeci sektor uzależnia się coraz bardziej od grantów. W praktyce oznacza to, że należące do niego organizacje nie są w stanie prowadzić swojej własnej polityki i robią raczej to, na co pieniądze chce dawać władza. Dlatego nie powinno się już właściwie mówić o orga-

nizacjach pozarządowych, ale raczej „pararządowych”, w tym sensie, że są one tylko innym narzędziem osiągnięcia celów, które definiują politycy oraz biurokraci.

Obecnie choroba ta wchodzi w nowy etap. Z fazy biernej – czyli sterowania trzecim sektorem poprzez manipulowanie priorytetami programów grantowych – władza przeszła do fazy czynnej: systemem zachęt i podnieć stymuluje powstawanie w trzecim sektorze projektów oraz organizacji, które służą do realizacji określonych przez nią samą celów. Kultura jest, niestety, szczególnie podatna na tego rodzaju korupcję. Mnożą się więc Fundacje Krzak, które po kilku miesiącach – lub nawet tygodniach – istnienia startują do konkursów o wielosettyśne lub wielomilionowe dotacje i... wygrywają je. Czasem wygląda to nawet tak, jakby urzędnicy celowo wyszukiwali organizacje słabe, o mizernym dorobku, kiepsko zdefiniowanej tożsamości i celach rozmytych w typową liberalną papkę: „prowadzenie analiz i studiów z zakresu sztuki współczesnej, aktualnej; gromadzenie prac i dzieł z zakresu sztuk wizualnych w celu udostępniania ich społeczeństwu; współpracę z krajowymi i zagranicznymi instytucjami kulturalnymi działającymi w zakresie objętym celem Fundacji oraz osobami wykazującymi zainteresowanie celem Fundacji; dokumentowanie zbiorów Fundacji i wydarzeń metodą elektroniczną, drukiem itp.; organizację spotkań i sympozjów z zakresu sztuki współczesnej”⁴. Instytucje takie doskonale nadają się do realizowania łatwych, lekkich i przyjemnych przedsięwzięć oraz osiągnięcia celów, którym zdaniem biurokratów służyć powinna kultura: kreowanie pozytywnego wizerunku miasta, ściąganie inwestorów, dekorowanie przestrzeni miejskiej mialkami instalacjami zwanymi potem szumnie „sztuką w przestrzeni publicznej”, stymulowanie turystyki itp. Przykład? Krakowska Fundacja Wschód Sztuki i jej festiwal ArtBoom – półtora miliona złotych przepompowane przez „organizację pozarządową” będącą *de facto* przystawką do komercyjnej, trzeciologicowej galerii i prze-

znaczone na wydarzenie, którego sens jest przede wszystkim marketingowy: zwabić do Krakowa turystów, ale nie na tanie piwo, tylko na sztukę. Nic dziwnego, że lwia część budżetu tego przedsięwzięcia poszła na kampanię reklamową.

Głupota takiej strategii polega na tym, że zamiast doraźnie instrumentalizować sztukę, pieniądze te można by przeznaczyć na realizację przedsięwzięć bardziej eksperymentalnych, przez co też bardziej ryzykownych i mniej spektakularnych, ale w dłuższej perspektywie zdecydowanie bardziej kulturotwórczych (w sensie generowania nowych znaczeń i wartości). One zmieniłyby wizerunek miasta bardziej i lepiej niż przedsięwzięcia typu ArtBoom. Problem polega na tym, że na to trzeba by zapewne poczekać 10 lub 20 lat, a politycy rozdzielający środki „na kulturę” chcą mieć efekty jak najszybciej i to koniecznie przed kolejnymi wyborami samorządowymi.

Goldex Poldex albo czemu nie wystarczy policzyć do czterech

W reakcji między innymi na korupcję trzeciego sektora powstaje coś, co czasem nazywa się „czwartym sektorem”. Tworzą go niesformalizowane (w sensie prawnym) i niekomercyjne inicjatywy społeczno-kulturalne (czasem również o wymiarze politycznym). Najlepszym tego przykładem są skłoty i podobne do nich na wespół hobbystyczne galerie, świetlice lub „domy kultury”, które znaleźć można w dużych miastach na całym świecie: poznański Rozbrat, warszawska Elba, paryskie Electron Libre i Les Frigos, kolektywy takie jak Pachamama czy Lavaca w Buenos Aires, postindustrialne przestrzenie w nowojorskim DUMBO itp. W przeciwieństwie do często zbanalizowanych i koniunkturalnych działań trzeciego sektora tego rodzaju inicjatywy niosą ze sobą orzeźwiającą szczerłość i autentyzm. Mają też jednak wiele słabych stron. Nie chodzi nawet o „dyskurs artystycznej jakości”, z punktu widzenia którego większość „niezależnej” (czy to słowo coś jeszcze znaczy?) kultury

jest niewiele warta. Nie jest trudno pokazać, że dyskurs ten służy przede wszystkim afirmowaniu społecznych dystynkcji i nie chodzi w nim głównie o artystyczną wartość, ale o podkreślanie podziałów klasowych, z tym że w oparciu nie o kryteria materialne, ale o nierówną dystrybucję kapitału symbolicznego. Większym problemem jest raczej to, że czwarty sektor za bardzo definiuje swoją tożsamość poprzez procedury czysto negatywne i ekskluzywne, służące przede wszystkim utwierdzeniu się w poczuciu własnej moralnej wyższości: w tym nie bierzemy udziału, tam nas nie ma, z tymi nie współpracujemy, tych nie chcemy tu widzieć itd. W efekcie „niezależność” polega na tym, że grupa kilkunastu lub kilkudziesięciu osób bije w kółko sobie samym brawo i organizuje imprezy, w których wbrew radykalnym deklaracjom chodzi tylko o potwierdzenie grupowej tożsamości.

Czy istnieją inne modele działalności kulturalnej, które pozwoliłyby wyjść z matni czterech sektorów? Kwestia ta może mieć tylko jedno rozstrzygnięcie: empiryczne. Trzeba tworzyć i testować w praktyce różne sposoby działania. Idąc tym tropem, wspólnie z dwójką przyjaciół – projektantem Kubą de Barbaro i artystą Jankiem Simonem – założyliśmy w Krakowie coś, co nazwaliśmy „instytucją Pi sektora”: Goldex Poldex. Jest to pośredni produkt gorączki złota pożerającej naszą planetę w czasach politycznej niestabilności, neokolonialnych wojen i zwyżkujących cen ropy. Dzięki niewielkiej pomocy Jah i Halie Salasie w polu morfogenetycznym, w którym pojawił się początkowy projekt założenia polskiej kopalni złota na Madagaskarze, wypączkowały kolejne pomysły, w tym również lokalna inicjatywa obywatelska Spółdzielnia Goldex Poldex z siedzibą przy ul. Józefińskiej 21/12 w Krakowie. To dobrowolne zrzeszenie nieograniczonej liczby osób – jak powiedziałby Jürgen Habermas „niemające wzorów, otwarte ku przyszłości i maniakalnie nowatorskie” – jest połączeniem nielegalnego baru, dzielnicowej świetlicy, hobbystycznej restauracji i gale-

rii sztuki. Jest instytucją Pi sektora, ponieważ istnieje w ułamkowym, nie zbadanym wymiarze kulturowej produkcji, nie nastawionym ani na współpracę z instytucjami publicznymi, ani na działalność rynkową. Nie szuka sponsorów ani patronatów. Nie współpracuje z Europejską Fundacją Kultury ani Instytutem Adama Mickiewicza. Utrzymuje się z jałmużny i nielegalnej sprzedaży alkoholu. Jej jedynym celem jest walka z martwym czasem, o którego upływie przypomina merdający miarowo ogon kota⁵.

Obecnie prowadzimy Goldex w czwórkę (w czerwcu 2009 roku dołączyła do nas Aga Klepacka). W czasie kilku miesięcy zorganizowaliśmy kilkanaście imprez, w tym między innymi warsztaty strzelania z procy, antyszczyt NATO, wystawy Rадzia Puciłowskiego, Malwiny Rzoncy i Romka Dziadkiewicza, weekend newage'owy z paleniem szafwii, w czasie którego Bartek Materka przeżył „jedną z najpiękniejszych rzeczy w życiu”, weekendową świetlicę dla dzieci Goldeksik i kilka dyskusji. Wyemitowaliśmy również własny pieniądź – Talarex – który jest jedynym prawnym środkiem płatniczym na terenie Goldeksu (obecnie zgodnie ze znaną ekonomistom zasadą gorszy pieniądź – czyli PLN – wyparł lepszy i płacić można tylko środkiem bezprawnym, czyli złotówkami). Finansujemy wszystko z własnych pieniędzy. Można powiedzieć, że jest to rodzaj luksusowego potlaczcu, na który jesteśmy w stanie sobie pozwolić, ponieważ każde z nas zarabia pieniądze w inny sposób. Z drugiej strony, czy kultura nie powstaje właśnie jako rodzaj potlaczcu? Rozumianego dosłownie jako marnotrawienie środków materialnych na coś, z czego pożytek jest często niejasny lub w ogóle go nie ma? Lub metaforycznie jako wydatkowanie czasu i energii na coś, co nie przynosi zysków? Pragmatyzm przyświecający biurokratom, którzy wspierają z publicznych pieniędzy projekty typu ArtBoom, jest tylko odzwierciedleniem pragmatyzmu dominującej klasy społecznej – burżuazji. I taka jest również sztuka, która w efekcie powstaje – mieszczańska,

salonowa, banalna i nudna. Jeśli chcemy innych treści, musimy przede wszystkim wymyślać nowe formy, bo ideologia – jak przekonywał Lacan – tkwi w formie, a nie w treści.

Gra w klasy

Oczywiście, model działania Goldeksu ma różne ograniczenia. Jest na przykład pewien pułap wielkości projektów, ponad który nie jesteśmy w stanie wyjść. Można się zastanawiać, czy to źle, czy dobrze. Jest wątpliwe, czy zasada „lepiej jak jest więcej” daje w kulturze dobre rezultaty i czy nie lepiej byłoby stosować tu podstawową zasadę oświeconego narkomana, czyli „less is more”. Jest też tak, że nasze ograniczenia są pod tym względem lustrem, w którym odbijają się formy myślenia i działania dominujące w społeczeństwie. Jest nas czworo, więc możemy niewiele, ale gdyby było nas piętnaścioro, moglibyśmy już nieporównanie więcej. I to wcale nie jest niemożliwe. Wystarczyłoby, żeby znalazło się jeszcze dziesięć osób, którym w mózgu coś zrobiłoby „klik” i które zamiast żebrać o ochłapy z pańskiego stołu radnych albo warować w przedpokojach rynku sztuki, zrezygnowałyby z dwóch czy trzech wyjść do restauracji w miesiącu i dobrowolnie opodatkowałyby się na rzecz tego rodzaju spółdzielni, żeby możliwości zwiększyły się dramatycznie. A wyobraźmy sobie, co by było, gdyby znalazło się takich osób pięćdziesiąt. O to zresztą zawsze chodziło w „niezależnej” działalności prawdziwego „trzeciego sektora”: razem możemy więcej. Niestety hegemonia neoliberalnej ideologii indywidualizmu w połączeniu z praktyką korumpowania organizacji obywatelskich przez władzę za pomocą systemu dotacji oraz grantów skutecznie osłabiły wolę i umiejętność grupowego działania.

To jednak nie problem ograniczonej skali działania Goldeksu jest najistotniejszy. Nigdy nie pociągała mnie spektakularność. Jest ona sama w sobie raczej problemem niż rozwiązaniem. To, co jest moim zdaniem najbardziej negatywne, a co

silnie manifestuje się niestety w Goldeksie, to rodzaj klasowej gettoizacji i izolacji kultury. Nasze działania przyciągają zawsze określony typ publiczności. Najpierw byli to oczywiście w większości nasi znajomi, ale teraz przychodzi dużo osób, których nie znamy. W znakomitej większości należą one jednak do tej samej grupy czy klasy społecznej: bobo, czyli *bourgeois-bohème*.

Nie chodzi o to, że wierzę w utopię „działania dla społeczności lokalnej” i żałuję, że nie udaje nam się jej zrealizować. Nigdy nawet nie próbowaliśmy działać według takiego klucza. Obiektywna prawda pozostaje jednak taka, że Goldex jest usytuowany w dość biednej części krakowskiego centrum (Stare Podgórze), gdzie mieszka głównie miejski proletariatus, a nasza działalność to po prostu awangarda gentryfikacji. Jesteśmy pod tym względem ofiarą ekonomicznej bazy, która wszędzie wyznacza podobny mechanizm społeczno-urbanistycznej transformacji: otworzyliśmy Goldex tam, gdzie było tanio, a jednocześnie blisko centrum. W żadnym innym miejscu nie byłibyśmy w stanie działać, bo na wysoki czynsz nas nie stać, a do Nowej Huty nikomu nie chciałoby się jeździć. To prawda, że nie próbowaliśmy w żaden szczególny sposób trafić do naszych sąsiadów, ale nie chcieliśmy też ich z góry wykluczać. W praktyce wygląda to tak, że plakaty naszych imprez, które wieszamy czasem na drzwiach kamienicy, w której znajduje się Goldex, są natychmiast zrywane przez samych jej mieszkańców. W ten sposób i my, i oni po prostu nadal gramy w klasy.

Co robić?

Zajmowałem się w życiu różnymi rzeczami: mam doktorat z socjologii, pracuję na wyższej uczelni i napisałem kilka książek, ale pracowałem też na czarno jako roznosiciel kanapek i ekspedient w sklepie spożywczym, byłem kurierem rowerowym, pracowałem jako dziennikarz w radiu i miałem trochę do czynienia z różnymi instytucjami kultury: od 10 lat współ-

nie z Piotrem Mareckim prowadzę wydawnictwo Ha!art, byłem współzałożycielem Stowarzyszenia Commmo, współpracowałem z Fundacją 36,6 i przez dwa lata pracowałem jako kurator w krakowskim Bunkrze Sztuki. Wspominam o tym nie dlatego, żeby robić z siebie kombatanta, ale z tego powodu, że ta biograficzno-instytucjonalna makropsychogeografia, ten życiowy makrodrif – *passage hâtif à travers des ambiances variées* – nauczył mnie jednej rzeczy, która wydaje mi się ważna ze względu na kształtowanie postępowej polityki kulturalnej: podstawowe społeczne problemy kultury – czyli kwestie produkcji, dystrybucji i dostępu do jej dóbr – nie mają swoich źródeł w samym świecie kultury i nie dadzą się nigdy rozwiązać w jego obrębie. Problemy Goldeksu to symptom, a w instytucjach kultury i sposobie ich działania jak w soczewce skupiają się klasowe mechanizmy i podziały społeczeństw, w których żyjemy. W innych dziedzinach życia – rozrywce, oświacie, konsumpcji, pracy, sporcie itd. – stykamy się zazwyczaj z mniejszą lub większą różnorodnością typów i tożsamości społecznych, natomiast w kulturze wysokiej (bo nie mówię tu o chodzeniu do multipleksów) uczestniczy jeden tylko segment społeczeństwa: burżuazja. Dlatego niezależnie od tego, ilu jeszcze Hauserów napisze ile raportów i ilu biurokratów wymyśli ile nowych mechanizmów finansowania kultury, to tak samo jak w przypadku putnamowskiego południa Włoch nie nastąpią z tego powodu żadne istotne zmiany, bo problem leży gdzieś indziej. Tkwi on w kapitalistycznej ekonomii czasu, a mówiąc kategoriami filozoficznymi Jacques’a Rancière’a w jej policyjnym charakterze, czyli w fakcie, że zmusza ona większość jednostek do zajmowania ściśle określonej pozycji i odgrywania sztywno zdefiniowanego zestawu ról: do wykonywania ogłupiającej pracy, aby w tak zwanym „czasie wolnym” mielić im mózgi równie ogłupiającą rozrywką. To z kolei napędza mechanizm nierównej dystrybucji kapitału kulturowego. Ci, którym go brakuje, bo nie mają czasu na jego gromadzenie, nie

są w stanie nie tylko „zrozumieć sztuki”, ale w ogóle odszyfrować jej komunikacyjny kodu, to znaczy rozpoznać dzieła sztuki jako takiego. Nie zmieni tego żadna administracyjna reforma reguł działania publicznych instytucji kultury, bo to nie one decydują o sposobach dystrybucji kapitału symbolicznego (czy też decydują o tym w bardzo niewielkim stopniu). W większej mierze dostosowują się tylko do istniejących już nierówności i podziałów. Nie da się za ich pomocą przeprowadzić rewolucji. Zresztą – jak przekonywał Guy Debord i co może stanowić dobre motto dla progresywnej polityki kulturalnej – nie chodzi o to, żeby poezja służyła rewolucji, ale rewolucja poezji.

PRZYPISY

¹ Por. R.D. Putnam, *Demokracja w działaniu. Tradycje obywatelskie we współczesnych Włoszech*, tłum. J. Szacki, Kraków 1995.

² Por. F. Fukuyama, *Zaufanie. Kapitał społeczny a droga do dobrobytu*, tłum. A. i L. Śliwa, Warszawa–Wrocław 1997.

³ Putnam wydał kilka lat temu bardzo interesującą książkę na ten temat: R. D. Putnam, *Bowling Alone. The Collapse and Revival of American Community*, New York 2001.

⁴ <http://www.fws.art.pl/>

⁵ Por. <http://www.goldexpoldex.pl/>.